

AGENTURA NIE JEST CELEM

**Z WOJCIECHEM FRAZIKIEM I FILIPEM MUSIAŁEM
ROZMAWIA JAN M. RUMAN**

J.M.R. – Jaka jest geneza sowieckiej i komunistycznej agentury na ziemiach polskich, która po wojnie rozwinęła się w aparat represji państwa komunistycznego? Czy jej korzeni należy upatrywać w okresie okupacji, czy znacznie wcześniej – w dwudziestoleciu międzywojennym?

W.F. – Oczywiście, trzeba ich upatrywać w dwudziestoleciu międzywojennym, ponieważ u początków bazą dla agentury sowieckiej była partia komunistyczna, która traktowała Polskę jako twór przejściowy, tymczasowy, mający być tylko trupem, po którym przejdzie się do Europy Zachodniej i tam wznieci płomień rewolucji. W związku z tym komuniści pracowali na rzecz centrali w Moskwie. W tym środowisku, a także wśród sympatyków partii komunistycznej werbowano współpracowników wywiadu sowieckiego jeszcze przed wojną. A potem również w tych środowiskach szukano współpracowników w czasie wojny. Szukano ich wśród tych, którzy znaleźli się pod okupacją sowiecką na ziemiach wschodnich, i wśród tych, którzy zostali wywiezieni. Wtedy wielu osobom wydawało się, że jeśli chcą uniknąć śmierci, jedynym wyjściem jest pójście na współpracę.

J.M.R. – Dodajmy, że tysiące tych, którzy zdecydowanie odmówili współpracy, to ofiary Zbrodni Katyńskiej. Dziś przecież mamy świadomość, że z większością – jeśli nie z wszystkimi – internowanych oficerów polskich prowadzono rozmowy werbunkowe. Cena odmowy była więc bardzo wysoka.

F.M. – Chciałbym powrócić jeszcze do dwudziestolecia międzywojennego, dlatego że dzisiaj coraz rzadziej zdajemy sobie sprawę, jaka była geneza państwa komunistycznego w Polsce; coraz rzadziej pamiętamy o tym, że Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, czyli późniejsza KPP – były gałęziami Międzynarodówki Komunistycznej. Była to więc nie tyle utajniona agentura Kremla, ile jawna struktura, realizująca zadania Międzynarodówki Komunistycznej. Ci spośród komunistów, którzy przetrwali czystkę stalinowską z końca lat trzydziestych, potem stanowili podstawę desantu, który miał spaść na ziemię polskie pod osłoną armii sowieckiej i budować tutaj wasalny wobec Kremla system.

W.F. – Z jednej strony mamy więc partię komunistyczną, którą w całości można uznać za agenturę sowiecką, ale z drugiej strony jest też agentura *sensu stricto* NKWD czy sowieckiego wywiadu wojskowego. Ta agentura była już nieco inaczej budowana, przede wszystkim nie tak jawnie i otwarcie.

F.M. – Choć początkowo było tak, że werbowano agentów głównie spośród wyznawców ideologii komunistycznej, ale bardzo szybko Sowieci zmienili wytyczne, bo stało się oczywiste, że ci, którzy związani są z komunizmem, jednocześnie mogą świadczyć usługi na rzecz komunistycznego sąsiada.

J.M.R. – Ten sposób myślenia ma zresztą później swoją kontynuację... Ale zachowajmy porządek chronologiczny. Po wojnie, gdy Polska stała się państwem zależnym od Związku Sowieckiego, NKWD i UB rozbudowywały sieć agenturalną. Jakie były cele agentury, gdzie szukano najcenniejszych agentów i jaka była skala tego zjawiska w latach czterdziestych?

F.M. – Cele agentury w latach czterdziestych były zróżnicowane i zawsze zależne od tego, jaki był cel Kremla. Początkowo agentura w znacznej części była budowana przez NKWD. Jej pierwszorzędnym celem było spenetrowanie wywiadowcze struktur Polskiego Państwa Podziemnego i jego sił zbrojnych, a przez to przygotowanie planu uderzenia na legalną II Rzeczpospolitą – pozostającą w tym czasie w podziemiu. Natomiast po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną te cele ulegają pewnej rewizji. To, co zostało z Polskiego Państwa Podziemnego po przetoczeniu się przez Polskę walca armii sowieckiej, pozostaje nadal w zainteresowaniu operacyjnym, ale dotychczas inne środowiska, które dotychczas były z tego zainteresowania wyłączone, np. Kościół katolicki. W czasie wojny nie był on pierwszoplanowym zagrożeniem z punktu widzenia Kremla, jednak po wojnie zaczynał nim być, jako siła ideowo przeciwstawna doktrynie marksistowskiej i w pełni niezależna od instalowanej w Polsce dyktatury.

J.M.R. – W czasie wojny i okupacji Kościół też był postrzegany przez Sowieców jako zagrożenie, ale jedynie na terenach wschodnich, które włączyli do swojego państwa...

F.M. – Tak, na tych terenach, które Stalin uznawał za swoje. To rzeczywiście jest ważne rozróżnienie – nieco inne były cele agentury na terenach powojennej Polski „ludowej” budowanej z nadania Stalina, a nieco inne były cele na niemal 40 proc. terytorium Polski, które zostały wcielone do państwa sowieckiego.

J.M.R. – Przyznam, że dziwi mnie trochę, iż do tej pory nie padły w naszej dyskusji takie nazwy jak GL, AL...

W.F. – Podstawowym celem agentury sowieckiej było przygotowywanie gruntu do zniszczenia niepodległej Rzeczypospolitej. Dokonywało się to w dwóch etapach – pierwszy, przed wojną i w czasie wojny, kiedy nie ma jeszcze komunistycznego aparatu represji na ziemiach polskich. W tym czasie tworzone są siatki o charakterze wywiadowczym, dla których bazą był Związek Sowiecki. Do tych siatek wywiadowczych trafiali ludzie pozytywni na miejscu albo przysyłani na spadochronach. Byli oni szkoleni w szkołach w Związku Sowieckim na



NIEPOKÓLCZYCKI

Franciszek Niepokólczycki (1902–1974), oficer WP II Rzeczypospolitej, uczestnik kampanii wrześniowej, współtwórca Kedywu AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, po wojnie był jedną z kluczowych postaci podziemia niepodległościowego, m.in. prezesem II Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Po aresztowaniu bezpieka złożyła mu propozycję publicznego potępienia działalności niepodległościowej. Jak wspominał: „Miałem wyjść w ogóle bez procesu w marcu 1947 r. i to z wielkim hukiem, bo z awansem generalskim, Virtuti Militari IV klasy, Grunwaldem itp. Posłyszano ode mnie w tej sprawie – nie”. Skazano go na karę śmierci, złagodzoną następnie do dożywotniego więzienia.

F.M.

agentów. Podczas okupacji zasilali sowieckie oddziały partyzanckie, które byli dla nich oparciem, lub włączali się w komunistyczne oddziały partyzanckie polskie – Gwardii Ludowej, potem Armii Ludowej. Jednym z głównych zadań tych organizacji było rozpracowanie polskiego podziemia czy szerzej społeczeństwa polskiego, po to żeby przygotować uderzenia, które nastąpią już po wejściu Armii Czerwonej. Po wkroczeniu tej armii i ustanowieniu komunistycznej władzy budowany był polski komunistyczny aparat represji, który tworzył własną agenturę.

J.M.R. – I AL ma swoje zastęgi przy tworzeniu tego aparatu...

W.F. – Oczywiście, chociaż znaczna część aelowców poszła w pierwszym okresie do wojska, bo chodziło o to, żeby „wzmocnić” wojsko tym elementem komunistycznym. Natomiast aparat bezpieczeństwa na początku tworzyli ci, którzy przybyli ze Związku

Sowieckiego, przynajmniej jeśli chodzi o stanowiska dowódcze. Na niektórych terenach, np. w Krakowskim, na Rzeszowszczyźnie, na Lubelszczyźnie, udział aelowców w tworzeniu tego aparatu był jednak spory.

J.M.R. – Warto może wspomnieć w tym kontekście, że im bliżej końca wojny, który daje się już przewidzieć, tym więcej akcji AL o charakterze antyniemieckim. Ale dość czytelną jest to, że są to akcje przeprowadzane po to, żeby później można je było rozegrać propagandowo, że to my – AL – byliśmy czołówką podziemia. Pod koniec okupacji oddziały AL były bardzo aktywne na tym polu.

W.F. – Trudno, żeby było inaczej, skoro Polacy przez całą okupację marzyli o tym, aby móc zbrojnie wystąpić przeciwko Niemcom, a oddziały AL były bardzo obficie zaopatrywane w broń. Nie było przecież żadnego problemu, żeby samoloty sowieckie przeleciały 100 km za linię frontu i zrzucały zaopatrzenie. Oddziały mogły więc wchłonąć sporo ludzi, którzy nie patrzyli na ich proveniencję, tylko chcieli z bronią w ręku wystąpić przeciwko Niemcom.

J.M.R. – Wróćmy do tego, co działo się podczas tworzenia aparatu bezpieczeństwa i jego agentury.

W.F. – W chwili wejścia Armii Czerwonej do Polski tworzone są równoległe dwie sieci agenturalne. Jedna to siatka sowiecka – uaktywniana jest dawna agentura i pozyskiwana nowa, zwłaszcza spośród ludzi aresztowanych. Stawiano im niedwuznaczne propozycje – wy-

dziecie, jeżeli zgodzicie się na współpracę. Do jesieni 1945 r. najważniejszą sieć agenturalną tworzyli Sowieci. Potem część tej siatki przekazano Urzędowi Bezpieczeństwa, który zaczynał tworzyć własną sieć agenturalną. Początkowo dość nieumiejętnie, bo funkcjonariusze nie potrafili jeszcze prowadzić tzw. pracy operacyjnej. Wkrótce jednak siatka agenturalna UB stała się najważniejszą i służyła przede wszystkim do rozbicia pozostałości podziemia i spacyfikowania rodzących się nastrojów opozycyjnych. Każdy z pionów bezpieczeństwa miał własną agenturę, która była ukierunkowana na cele, którymi dany pion się zajmował, np. opanowanie gospodarki, infiltracja struktur podziemnych, występowanie przeciw Kościołowi czy przenikanie do środowisk młodzieżowych... W miarę upływu lat siatki agenturalne rozrastały się. Co pewien czas dokonywano przeglądów i eliminowano agenturę nieprzydatną.

J.M.R. – Instytutowi Pamięci Narodowej stawiany jest zarzut, że często ujawnia agentów działających w Kościele i w środowiskach zbrojnego podziemia. Niektórzy pytają wprost, dlaczego zamiast zająć się samą bezpieczeństwem ujawnia się agentów z kręgów, które sprzeciwiały się komunizmowi. Czy to nie jest tak, że zbrojne podziemie i Kościół to były największe zagrożenia dla komunizmu i dlatego w tych środowiskach szczególnie dbano o rozwijanie agentury?

F.M. – Bywa i tak, że kiedy IPN przedstawia działania aparatu represji wobec konkretnych środowisk i ujawnia agenturę, wtedy zarzuca się Instytutowi, że opisuje agentów, a nie funkcjonariuszy. Natomiast kiedy IPN publikuje książki o aparacie bezpieczeństwa, to zarzuca się mu, że nadmiernie interesuje się ubekami i esbekami i tworzy albumy ich upamiętniające...

W pierwszym okresie – do 1947 r., najważniejszym celem aparatu represji było zabezpieczenie bardzo słabej jeszcze wtedy władzy komunistycznej. Nie miała ona bowiem żadnego zakorzenienia w społeczeństwie i jej funkcjonowanie opierało się najpierw na sile sowieckich bagnetów, a następnie na sprawności rodzimego aparatu represji. Na początku więc głównym kierunkiem działań operacyjnych, w tym werbunku agentury, było podziemie niepodległościowe. Jednocześnie prowadzono działania werbunkowe wewnątrz stronnictw politycznych, znacznie mniej uwagi przywiązując do pozostałych środowisk. Niszczeniem Kościoła zajęto się intensywnie dopiero po 1947 r. Kiedy komunistom udało się zlikwidować zbrojne podziemie i opór polityczny o charakterze ogólnopolskim, wtedy uznano, że bastionem oporu w skali całego kraju jest Kościół i dlatego stał się on pierwszoplanowym celem ataku. W tym momencie przeciw Kościołowi skierowano najbardziej sprawdzonych

RENIAK

Marian Strużyński *vel* **Reniak** (1922–2004), żołnierz AK i DSZ, działacz WiN i ROAK. Od 1947 r. agent UB ps. „Irka”, „7”, „Karol” i „Robert”, „Teodor”, przyczynił się do rozbicia Rady WiN Olkusz oraz oddziałów partyzanckich: Stanisława Ludzi „Harnasia”, Józefa Miki „Leszka” i Stanisława Nowaka „Iskry”. Od 1951 r. brał udział w jednej z największych gier operacyjnych bezpieczeństwa – operacji „Cezary” (tzw. V Komendy WiN), odegrał m.in. kluczową rolę w rozbiciu oddziału Kazimierza Kamińskiego „Huzara”. Bezpośrednio w wyniku jego działań śmierć poniosło kilkunastu partyzantów. W latach 1957–1964 kadrowy funkcjonariusz SB.

F.M.

funkcjonariuszy, którzy, by realizować powierzone im zadania, rozwijali sieć agenturalną. W przypadku woj. krakowskiego rozbudowa jest skokowa – z 15 agentów w połowie 1947 r., do 88 rok później, a następnie 236 w grudniu 1949 r.

J.M.R. – Wcześniej uderzenie w księży wiąże się ze wspieraniem przez duchowieństwo oporu wobec komunistycznych władz.

F.M. – Tak, w pierwszych latach bezpieka walczy z duchowieństwem angażującym się w działania niepodległościowe (czyli z perspektywy komunistów antysystemowe). Natomiast od 1948 r. bezpieka uznaje, że każdy duchowny jest przeciwnikiem władzy, chyba że działa w kręgu tzw. księży patriotów, wówczas staje się sojusznikiem.

J.M.R. – W jaki sposób werbowano wtedy agentów? I jakie były konsekwencje odmowy współpracy w tamtych latach?

F.M. – Komuniści przejęli władzę w drodze podboju, dlatego zachowywali się – także w sferze działań operacyjnych – jak okupant na nieprzychylnym terytorium; stąd w pierwszych latach stosowano metody tzw. twardego werbunku. Z reguły używano szantażu i to bardzo brutalnego. Podstawową metodą było tzw. tajne zdjęcie, czyli utajnione aresztowanie osoby, którą zamierzano zwerbować. Przedstawiano jej następnie alternatywę – albo podjęcie współpracy, albo postawienie zarzutów karnych i wprowadzenie sprawy na drogę sądową. Większość osób werbowanych z kręgów zbrojnego podziemia czy organizacji politycznych zdawała sobie sprawę z konsekwencji odmowy współpracy: najpierw bardzo ciężkie śledztwo (jakie były metody śledcze, na ogół wiedziano)...

J.M.R. – A jeżeli się uda przeżyć śledztwo, to...

F.M. – To albo długoletnie więzienie, albo wyrok śmierci. W podobny sposób postępowano wobec duchowieństwa, choć w tym przypadku rezygnowano z tajnego aresztowania, ale metodą werbunku był szantaż.

J.M.R. – Kogo, jakich ludzi próbowano werbować?

W.F. – Próbowano werbować każdego, kto mógł być przydatny do celów operacyjnych. Istnienie agentury związane było z metodami działania systemu. To był system opresywny, zmierzający do totalitaryzmu. Aparat bezpieczeństwa miał więc za zadanie zapanować nad całością społeczeństwa, nad wszystkimi organizacjami. W takim systemie nie ma innego sposobu zapanowania nad społeczeństwem niż operacyjne opanowanie go – przypominało to funkcjonariuszom UB na każdym kroku. Podstawowym środkiem działania aparatu represji było werbowanie agentury i przy jej pomocy uzyskiwanie informacji o tym, co się dzieje w państwie, a następnie – po otrzymaniu informacji – albo niszczenie ośrodków stannowiących zagrożenie, albo sprawowanie nad nimi kontroli i sterowanie nimi w kierunku pożądanym przez władzę.

J.M.R. – Pierwszy szczyt liczebności agentury przypada na końcówkę lata okresu stalinowskiego – w 1953 r. liczba donosicieli sięgała 85 tys. – z czego to wynika-

ło, że ta sieć była aż tak rozdęta?

W.F. – Z tego, że wtedy był najbardziej rozdęty aparat bezpieczeństwa. Lato 1953 r. to był szczytowy okres rozwoju jego struktur.

J.M.R. – Czy to się wiązało z obawami o to, co będzie po śmierci Stalina?

F.M. – Nie, to się wiązało z tym, że taktyka działania systemu komunistycznego była bardzo prosta – oprowadzanie tkanki społecznej po kawałku. Na początku skoncentrowano się na kwestiach politycznych, następnie gospodarczych, potem rozszerzano działanie na inne sfery życia, a w 1953 r. komunści zaczynają panować nad wszystkim. W tym czasie kontrolują już także jawne i uznane przez dyktaturę organizacje, czyli tak naprawdę kontrolują siebie samych, a także gospodarkę rolną, zakłady pracy, gdzie tworzą tzw. referaty ochrony. W 1953 r. nie było już żadnego przejawu życia społecznego, który pozostawałby poza kontrolą bezpieki, jako narzędzia partii komunistycznej. Agentura była więc lokowana wszędzie.

J.M.R. – Jak w tym okresie typowano kandydatów i werbowano współpracowników bezpieki? Czy można, choć w przybliżeniu, określić skalę odmów współpracy? Więzienia pełne są w tym czasie więźniów politycznych. Oczywiście, także tam jest sporo agentów celnych, ale większość osób skazanych na długoletnie wyroki to niezłomni, którzy zdecydowanie powiedzieli komunistycznemu totalitaryzmowi „nie”.

W.F. – Proste wyciągnięcie wniosków z wysokości wyroków jest niemożliwe. Można podać przykłady agentów, którzy byli skazani na karę śmierci (wykonaną), bo taka była potrzeba polityczna – zrobili swoje i można ich było zlikwidować. Osoby siedzące w więzieniach próbowano pozyskiwać do współpracy, ale niekoniecznie agenturalnej, raczej do tzw. współpracy ze śledztwem. Wielu siedzących w więzieniach aresztowano w takich okolicznościach, że byliby już nieprzydatni jako agenci. Jako agentów wykorzystywano tajnie aresztowanych, o których środowisko nie wiedziało, co się z nimi stało. Taka osoba mogła wyjść na wolność po kilkunastu dniach już jako zwerbowany agent.

J.M.R. – Ale jest tajemnica „Wichury”, który został wypuszczony w 1946 r. „z braku dowodów winy”. Wiadomo, że od 1950 r. był agentem...



KARD. MACHARSKI

Kard. Franciszek Macharski (ur. 1927), w latach 1970–1978 rektor Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie, w latach 1977–1978 kanonik kapituły krakowskiej. W latach 1978–2005 metropolita archidiecezji krakowskiej. W 1974 r. w czasie rozmowy paszportowej zaproponowano mu spotkanie z wyższym funkcjonariuszem MSW. Doszło do niego w „Hotelu Francuskim” w Krakowie. Jak zanotował jeden z TW: „Macharski przybył ubrany w sutannę, poinformował o tym spotkaniu biskupa [Stanisława] Smoleńskiego oraz obu zastępców rektora [tut[ejszego] Seminarium, co zresztą także posłał do wiadomości swoim interlokutorom ze Sł[użby] Bezp[ieczeństwa]”.

F.M.

W.F. – Amnestie – to była bardzo dogodna okoliczność, żeby...

J.M.R. – ...wypuścić, wśród innych, trochę agentury.

F.M. – Nie tylko, także, żeby werbować. Wykorzystywano naturalne procesy psychiczne zachodzące w umyśle osoby przebywającej w odosobnieniu. To światło w tunelu, jakim była amnestia, pogłębiało coś, co bezpieka nazywała „instynktem życia wolnościowego”. Zdarzało się, że ludzie, którzy wcześniej zdecydowanie się opierali wszelkim naciskom, bo mieli perspektywę – nie wyjdę stąd przez kilkadziesiąt lat, nagle dostrzegali, że...

J.M.R. – ...koleczy się pakują, a ja mogę zostać.

F.M. – Tak, nagle pojawia się perspektywa możliwości powrotu do żony, do dzieci, czy po prostu wyjścia na wolność. To powoduje pewne zmiękczenie postawy, co bezpieka

bezwzględnie wykorzystywała. Akcję werbunku przeprowadzono na przykład wobec duchownych po amnestii z listopada 1952 r.

W.F. – Tak, ale często werbunek podejmowano nie przed zwolnieniem więźnia, ale już po jego wypuszczeniu. Nachodzono go z informacją, że znalazły się zarzuty, których amnestia nie objęła, więc możliwy jest powrót do więzienia. Proszę sobie wyobrazić lęk osoby, która doświadczyła już, czym jest kara więzienia w tamtych czasach. To typowy chwyt bezpieki.

F.M. – Niekiedy stosowano bardziej skomplikowane gry. Jednemu ze skazanych na dożywocie działaczy WiN zabrano zdjęcie córki, które miał zaszyte w sienniku. To był pierwszy etap łamania psychicznego, bo ta fotografia była jego jedynym „namacalnym” kontaktem z rodziną. Następnie, żeby pobudzić tzw. instynkt życia wolnościowego, spowodowano przeniesienie go do izolatki, gdzie po kilkunastu miesiącach oderwania go od wszelkich informacji, zaczęto mu podrzucać do celi gazety, żeby poczytał, co dzieje się na wolności, i zatęsknił za życiem poza murami. Dopiero po takim „zmiękczeniu” podjęto akcję werbunkową.

J.M.R. – Czy można na podstawie badań powiedzieć, jaka była skala odmów współpracy w tamtych czasach?

W.F. – Nie, bo w pierwszym okresie bezpieki nie prowadziła dokumentacji dotyczącej kandydatów na współpracowników. Zachowana dokumentacja z tamtego czasu zwięza-

na jest z osobami pozyskanymi do współpracy. Niekiedy z akt operacyjnych można wywnioskować, że planowano kogoś zwerbować, ale się nie udało.

J.M.R. – Czasem zdarza się ponoć, że w aktach został ślad, iż planowano werbunek jakiejś osoby, ale zrezygnowano po informacji, że ta osoba była już werbowana i odmówiła.

W.F. – Tak, można spotkać takie zapisy, najczęściej w charakterystykach osób pozostających w zainteresowaniu bezpieki.

F.M. – W czasach powojennych, do roku 1953, odmówić współpracy było bardzo trudno. W większości wypadków odmowa była równoznaczna z podpisaniem na siebie wyroku kilku, kilkunastu lat więzienia, a w skrajnych wypadkach kary śmierci. Wydaje mi się, że w takich warunkach niewiele osób decydowało się na odmowę współpracy wprost. Trzeba jednak pamiętać, że w tym czasie niezwykle charakterystycznym zachowaniem osób werbowanych jest odmowa pośrednia – w wyniku szantażu zgadzano się na współpracę, a następnie jej nie podejmowano. Wiele osób pod wpływem nacisku podpisało zobowiązanie do współpracy, a potem ukrywało się przed bezpieką lub nie wykonywało zadań. Ludzie ci potrafili więc wyjść z tej sytuacji z honorem. Choć zdarzały się i takie przypadki, jak opisywany w tym numerze „Biuletynu” ks. Jana Wójcika. Wobec skazanego na dziewięć lat duchownego, bezpieka podjęła próbę werbunku podczas amnestii w 1952 r., a on odpowiada – skażcie mnie na następne dziewięć lat, ale nie będę z wami współpracował. Jednak takie przypadki nie są masowe...

J.M.R. – Ale też pewnie wielu takich przypadków nie znamy, bo bezpieka się nie chwaliła porażkami.

W.F. – O wielu rzeczach, jako historycy, nie wiemy, bo nie mamy dokumentów. Natomiast możemy dowieść wielu przypadków, podpisania współpracy i odmowy jej materializacji. Ta odmowa przybierała różne formy. Oprócz skrajnych przypadków ukrywania się, zdarzało się unikanie kontaktów lub stawianie się na spotkania, ale unikanie mówienia czegokolwiek. Leszek Wasylkowski, w czasie wojny w Okręgu Krakowskim AK szef akcji „N”, ważna postać „Brygad Wywiadowczych”, potem jeden z czołowych przedstawicieli II Zarządu Głównego WiN, aresztowany razem z innymi osobami z II Zarządu. Gdyby był sądzony, zapewne byłby jedną z najważniejszych postaci w tym procesie. Dzięki gigantycznej łapówce został wyłączony z kręgu osób przeznaczonych do pokazowego procesu, a następnie zwolniony z więzienia za cenę podpisania współpracy. Można powiedzieć,

POLAN-HARASCHIN

Julian Polan-Haraschin (1912–1984), w latach 1945–1951 sędzia komunistycznego sądownictwa wojkowego, orzekał w sprawach politycznych, skazując na śmierć co najmniej sześćdziesiąt osób. W latach 1951–1962 pracownik naukowy UJ, w 1963 r. skazany za łapownictwo, fałszowanie wyników egzaminów i sprzedawanie dyplomów. Zwerbowany do współpracy z SB w więzieniu w 1965 r., po wcześniejszym zwolnieniu z więzienia został przejęty przez pion IV SB. Pod ps. „Zbyszek” i „Karol”, wykorzystując powinowactwo z ks. Franciszkiem Macharskim, służył informacjami na temat krakowskiego Kościoła, a także środowiska uniwersyteckiego.

F.M.

"Za paszport i parę dolarów"



czyli polski western

że podpisanie współpracy było konieczne, żeby zadziałała wspomniana łapówka. Po zwolnieniu z więzienia, jak tylko próbowano go wykorzystać do jakiegoś konkretnego celu, natychmiast zmieniał środowisko. Kiedy chciała go przejść następna komórka bezpieczeństwa w celu wykorzystania w nowym środowisku, on znowu zmieniał otoczenie. To trwało przez wiele lat, formalnie był zarejestrowany jako agent, natomiast nigdy nie współpracował. Wynika to jednoznacznie z akt, w których odnotowano, że to on próbuje zdobyć informacje, czym bezpieczeństwa się interesuje. Ten człowiek miał w pewnym sensie parasol ochrony – musiał być zarejestrowany jako agent, bo inaczej, zgodnie z dyrektywami centrali, zostałby ponownie aresztowany, a nie można go było aresztować, bo mogłaby wyjść na jaw sprawa łapówki, wziętej przez głównych zainteresowanych sprawą. W aktach sądowych stwierdza się, że nie ma żadnych dowodów jego działalności. W tych samych aktach są własnoręcznie pisane przez Wasylkowskiego charakterystyki Władysława Gomułki, ponieważ obaj pochodzili z Krośnieńskiego. Znałem tę historię jeszcze w peerelu. Teczka w IPN ją potwierdziła.

J.M.R. – To chyba nie był jeszcze ten czas, kiedy można było zastosować znaną później metodę ostrzegania, informowania środowiska o podpisaniu współpracy? W tym okresie mogło to pewnie zbyt wiele kosztować?

F.M. – Ale znamy i takie przypadki, kiedy ktoś – z pełną świadomością konsekwencji – daje się zwerbować po to, żeby wyjść i ostrzec swoich kolegów, co wie bezpieka i oczywiście, że został zwerbowany. Z reguły kończy się to zerwaniem więzi organizacyjnych i próbą ukrycia się – często na ziemiach zachodnich. Reakcja bezpieki jest nietrudna do przewidzenia – tropienie „dwulicowego agenta”, a po jego odnalezieniu aresztowanie, proces i bardzo wysoki wyrok.

J.M.R. – Ale ludzie na zewnątrz dostają informację, co się dzieje, mogą się głębiej zakonspirować i zachować ostrożność, gdy następna osoba powróci do nich i nie ujawni współpracy.

W.F. – Była bardzo skuteczna metoda wyrwania się z tego kręgu współpracy. Na spotkaniu z oficerem prowadzącym mówiono, że sprawa została ujawniona księdzu w czasie spowiedzi i ksiądz odpowiedział, iż to jest niemoralne. To było niesprawdzalne, a jednocześnie bezpieka obawiała się, że agent jest zdekonspirowany, i zrywała współpracę.

J.M.R. – Nikogo to nie narażało, bo przecież człowiek, który rzekomo się wyświadczył ze współpracy, nie musiał wiedzieć, kto siedział w konfesjonale... Czyli nawet w tym najtrudniejszym okresie były skuteczne formy odmowy.

Po 1956 r. spada liczba agentury, czy wynika to z tzw. odwilży, czy też bezpieka, nabierając doświadczenia, zaczyna rozumieć, że zbyt duża siatka może być mało efektywna, i stawia bardziej na jej jakość niż na liczebność?

W.F. – W pierwszym okresie aparat bezpieczeństwa czerpał wiedzę o pracy operacyjnej z wzorców sowieckich, ale nie było własnych, precyzyjnych instrukcji, jedynie ogólna, nazwana wręcz tymczasową, z 1945 r. Od początku lat pięćdziesiątych pracowano nad takimi instrukcjami, m.in. dotyczącymi werbunku i pracy operacyjnej. Po śmierci Stalina, kiedy następuje przebudowa aparatu bezpieczeństwa, jednocześnie wchodzi w życie opracowane instrukcje regulujące pracę resortu przez najbliższe lata. Po ich wydaniu dokonano przeglądu sieci agenturalnej pod kątem zawartych w niej wskazań. To powoduje wyeliminowanie znacznej części agentury, uznanej za pozbawioną możliwości operacyjnych. Później, w 1956 r., dokonano zasadniczej przebudowy aparatu bezpieczeństwa – generalnego jego ograniczenia i wycofania z wielu pól dotychczasowego działania. Stąd wynika czasowy spadek liczby agentów. Ale w miarę krzepnięcia aparatu bezpieczeństwa, opanowywania kolejnych dziedzin życia, znowu rozpoczyna się wzrost liczby agentury. I ten wzrost trwa już do końca peerelu.

F.M. – Z punktu widzenia aparatu represji warto zwrócić uwagę na celowość werbunku. Pierwsze lata powojenne charakteryzują się masowymi werbunkami, które bezpieka w swoim żargonie określała „werbunkami doraźnymi”, czyli, jak to pisano w raportach, werbowano każdego, kto „wszedł pod rękę”. Innymi słowy, jeżeli był materiał pozwalający na zaszantażowanie kogoś, to ten materiał wykorzystywano po to, aby tę osobę zwerbować,

WILDSTEIN

Bronisław Wildstein (ur. 1952), kolporter wydawnictw KOR, współzałożyciel Studenckiego Komitetu Solidarności, redaktor wydawanych w drugim obiegu pism „Indeks” i „Sygnał”, jeden z inicjatorów utworzenia w Krakowie NZS, współtwórca „Biuletynu NZS”. Zatrzymany prewencyjnie w marcu 1980 r., uciekł z gmachu MO przy pl. Wolności w Krakowie, wyskakując z okna na pierwszym piętrze. Od 1980 r. przebywał we Francji, współzakładał i redagował pismo „Kontakt”, pracował też w paryskim biurze Radia Wolna Europa.

F.M.

uznając, że celem bezpieki jest mechaniczne rozbudowywanie sieci agenturalnej. Ale już od przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych zaczyna dominować przekonanie, że tak rozwinięta sieć ma wiele tzw. oczek agenturalnych, natomiast jej skuteczność jest niska, dlatego że ciągle brakuje agentury ulokowanej w kluczowych dla poszczególnych instytucji ogniach. Od tego momentu zaczyna się w aparacie represji nacisk na celowość werbunku, czyli rozpisanie rozpracowywanej struktury na części pierwsze, wychwycenie w niej kluczowych ogniw i pozyskanie agentury albo w tych newralgicznych miejscach, albo spośród osób, które odgrywają istotną rolę. W tej zmianie optyki kryje się tajemnica spadku liczby agentury w roku 1956 ujęta z perspektywy aparatu represji.

Jest też jednak i druga – niezależna od bezpieki – przyczyna spadku liczby agentów. Śmierć Stalina i następujący po niej, w przypadku peerelu w latach 1954–1956, proces odwilży spowodowały, że zmalała przestrzeń strachu. To, że bez-

pieka rezygnuje w tym czasie z części agentury, to jest tylko jedna strona medalu, drugą stanowi to, że część agentury rezygnuje z bezpieki. Część osób, które były trzymane przez bezpiekę na krótkiej smyczy za pomocą strachu, wykorzystuje okazję do zerwania z bezpieką, gdy widzi, że system zaczyna się chwiać, że dokonuje się partyjny atak na aparat represji – który w czasie odwilży pełnił funkcję kozła ofiarnego mającego uchronić partię przed odpowiedzialnością za zbrodnie systemu.

W.F. – Wkrótce jednak, około roku sześćdziesiątego pojawia się tendencja werbowania ludzi poza sprawami operacyjnymi po to, żeby zapewnić sobie dopływ informacji ze środowisk, które co prawda jeszcze nic wrogiego nie robią, ale jest wysoce prawdopodobne, że w sprzyjających okolicznościach mogą coś zrobić przeciw systemowi. W tym czasie otwierają się też nowe możliwości korzystania z tzw. agentury nierejestrowanej – tzw. kontaktów operacyjnych czy tzw. pomocy obywatelskiej. Pojawiają się „dobrzy towarzysze”, do których można się zwrócić o informacje.

Wcześniej, przed 1956 r., podział na środowiska wrogie i przyjazne władzy był czytelny. Wtedy nacisk kładziono na werbowanie agentów w środowiskach wrogich, wiadomo było, że w środowisku partyzanckim członek partii nic nie wskóra. Później, kiedy nastąpiło złagodzenie systemu, wielu miało złudzenia, że teraz spokojnie będziemy coś budować – partyjni i bezpartyjni.

J.M.R. – Pokolenie zetempowców dorosło, objęło pewne funkcje...

W.F. – A z drugiej strony ci, którzy stawiali opór, mają już przetrącony kręgosłup. Zaciera się ten ostry podział na środowiska przyjazne i nieprzychylnie władzy. W tej sytuacji, gdy nic

groźnego dla władzy się nie dzieje, można pozyskiwać współpracowników spośród partyjnych, którzy funkcjonują w szerszym gronie osób. W tym okresie spotyka się też przestrogi, żeby nadmiernie nie rozbudowywać sieci kontaktów operacyjnych i nie obciążać nią funkcjonariuszy. Bezpieka ma świadomość, że waga uzyskiwanych w tym czasie informacji zmalała, więc nie ma potrzeby gromadzenia nieistotnych danych.

J.M.R. – Czyli w bezpiecie nadszedł czas uspokojenia, że jak coś białego pojawi się za oknem, to raczej tylko śnieg, a nie Anders na białym koniu. Z drugiej strony – jak zaznaczył Filip – ludzie przestają się panicznie bać безпеki, coraz częściej są zdolni odmówić kontaktów. Czy pod koniec lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych nadal grożą poważne konsekwencje za odmowę współpracy?

MALESZKA

Lesław Maleszka (ur. 1952), współzałożyciel Studenckiego Komitetu Solidarności, działacz „Solidarności”, redaktor ukazującego się w drugim obiegu „Gońca Małopolskiego”, redaktor naczelny „Nowohuckiego Biuletynu Solidarności”, autor licznych publikacji wydawanych poza cenzurą. Zwerbowany przez SB w 1976 r., do końca peerelu jako „Ketman”, „Return”, „Tomek”, „Zbyszek” dostarczał informacji i pełnił rolę tzw. agenta wpływu – na zlecenie SB ukierunkowując działania opozycji. Sugerował także bezpiecie najsukuteczniejsze metody zwalczania swych kolegów z konspiracji.

F.M.

F.M. – W latach sześćdziesiątych konsekwencje odmowy są niewielkie. Bezpieka zorientowała się już, że represjonowanie osób, które odmówiły współpracy, jest w pewnym sensie dekonspiracją własnych celów operacyjnych. Ale jednocześnie trzeba pamiętać, że osoby, które doświadczyły stalinizmu, nawet jeżeli dostrzegają zmianę w działaniu безпеki, to nie w pełni ją sobie uświadamiają. W dokumentach widzimy, że ludzie jeszcze nie wierzą, że w przypadku odmowy współpracy nic poważnego się nie stanie.

J.M.R. – To oczywiście, że ludzie, którzy pamiętają tortury podczas śledztwa, długoletnie więzienie swoje lub bliskich, nie wierzą w to, że bezpieka zmienia metody.

F.M. – Ale jest też inny fenomen lat sześćdziesiątych. Opór wobec systemu, opór wobec Gomułki jest realizowany przede wszystkim w środowisku Kościoła: spór Milenium – Tyśiąclecie. Dlatego na tym polu w działaniach безпеki niewiele się zmienia, pozostają one brutalne. Natomiast drugim ogniskiem fermentu są pewne grupy w partii – swoisty bunt marksistów przeciwko komunizmowi w wydaniu Gomułki, bo tym przecież był rewizjonizm. W tym wypadku można dostrzec największą zmianę, bo wiele osób z tego grona godzi się na kontakty, na świadczenie tzw. pomocy obywatelskiej, ponieważ jest dla nich normalne, że rozmawia się z funkcjonariuszami SB. To jest moment rozkwitu czegoś, co można nazwać „kawiarnianymi spotkaniami” – to znaczy duża część osób, które kontestują gomułkowską „małą stabilizację”, godzi się na półjawne-półtajne spotkania z esbekami w kawiarniach...

J.M.R. – Chyba w niektórych wypadkach można wierzyć w to, co ci ludzie mówią, że sądzili, iż w ten sposób na coś wpłyną...

W.F. – To jest taki sposób uprawiania polityki za pomocą tajnej policji. Wielu z tych ludzi nie miało możliwości rozmawiania z prawdziwymi władzami z „białego domu”, w związku z tym rozmawiali z tymi, za pośrednictwem których chcieli coś przekazać...

J.M.R. – **Sądzili, że raport z tych rozmów zostanie przedstawiony...**

W.F. – Tak. I to dotyczy wszystkich tych, którzy uważali siebie za uczestników gry politycznej w tamtych czasach...

J.M.R. – **...wierząc, że przechytrzyli bezpieczeństwo.**

W.F. – To jest przypadek także Andrzeja Micewskiego. To widać z donosów na niego składanych. Widziałem donos, w którym długoletni agent opisywał tę strategię, jaką miał Micewski. Agent, o którym mówię, był znany jako agent i Micewski miał nadzieję, że przez niego coś przekaze. Kiedy się okazało, że agent ma małe możliwości, Micewski zrezygnował z niego jako pośrednika...

F.M. – Dopiero dzisiaj widzimy, jak bardzo to było groteskowe. Wszelkie te próby dokonywania zmian w peerelu przez „ewangelizowanie” esbeków w przypadku niektórych duchownych czy przekonywanie ich „na gruncie politycznym” przez działaczy tzw. łagodnej opozycji były skazane na niepowodzenie. Nie znamy żadnego skutecznego działania podjętego w ten sposób.

J.M.R. – **Może być jednak pewien skutek uboczny – zasiewano ileś informacji, które angażowały bezpieczeństwo i kierowały jej pracę na błędne tory...**

F.M. – Na podstawie tych przypadków, które znam, sądzę, że bezpieczeństwa dość szybko była w stanie weryfikować informację przekazywane podczas rozmów operacyjnych. Chyba warto też podkreślić różnicę w spojrzeniu na takie wydarzenie, to co dla np. dysydenta czy działacza łagodnej opozycji było próbą „politycznej dyskusji” z esbekiem, dla jego rozmówcy stanowiło po prostu rozmowę operacyjną wpisaną w szerszy harmonogram działań wobec danego środowiska lub przeciw niemu. Dla funkcjonariuszy SB było jasne, do czego zmierzają tego typu kontakty i jakie nadzieje z nimi wiążą ich rozmówcy, najczęściej właśnie to nastawienie wykorzystywano po to, by w ogóle nawiązać bezpośredni kontakt z – z ich punktu widzenia – przeciwnikiem. To też jest ważne rozróżnienie: dla części opozycjonistów esbek jawił się jako „polityczny partner z przymusu”, dla funkcjonariusza opozycjonista był po prostu przeciwnikiem, którego należało zwalczać. Na przykład szef bezpieczeństwa na woj. krakowskie, Stanisław Wałach, spotyka się w kawiarni z redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego”, Jerzym Turowiczem – w kontekście absolutnie nieagenturalnym, po tej rozmowie podkreśla, że żadnych szans na werbunek nie ma – i prowadzi rozmowę operacyjną. Turowicz chce mu pewne treści przekazać, ale dla Wałacha jest oczywiste, do czego zmierza redaktor, ponieważ jego wiedza o środowisku „TP” wykracza znacznie poza to, co słyszy przy kawiarnianym stoliku. Wiedza Wałacha jest podbudowana informacjami z sieci agenturalnej wokół redakcji (w tym czasie jeszcze nie w samej redakcji), czyli pionów administracyjnych i technicznych tygodnika, oraz wiadomościami z podsłuchu pokojowego. Oczywiście, wtedy te osoby, które podejmowały grę z bezpieczeństwem,

mogły sądzić, że na coś wpłyną...

J.M.R. – ...ale funkcjonariusze raczej czekali, że może dowiedzą się czegoś, co ich naprawdę interesuje...

F.M. – ...bądź wykorzystywali okazję, żeby przekazać w drugą stronę coś, na czym im zależało.

J.M.R. – Nie ma w tym okresie osób, które nie wykazują się taką naiwnością w postępowaniu z bezpieczeństwem?

F.M. – Doskonale wiesz, że ci, którzy nie dali się nabrać na „odwilż” i na Gomułkę, byli wtedy wyrzuceni poza nawias życia politycznego, więc bezpieczna stosowała wobec nich odmienną taktykę działania...

J.M.R. – A duchowni? Nie brali udziału w życiu politycznym, ale mieli swoje ambony, więc trzeba było się z nimi liczyć.

F.M. – Duchowni najczęściej – choć i w tym środowisku zdarzają się przypadki naiwności, jak to nazwałś – w tym okresie stanowią chwalebny wyjątek, bo oni w tych latach, jako jedyni, wiedzą, jak z bezpieczeństwem postępować. Dawni przeciwnicy systemu, którzy mieli jakieś doświadczenie, są już spacyfikowani, nowi dopiero się uczą, jak działać. Tymczasem duchowni mają wyrobione pewne nawyki. Zdają sobie sprawę z tego, że z funkcjonariuszami SB nie rozmawia się prywatnie. Wiedzą, że jeśli esbek proponuje umówienie się nie w kancelarii parafialnej czy na komendzie, ale na tzw. gruncie neutralnym – w kawiarni, to należy o tym poinformować przełożonych, a propozycję odrzucić bądź umówić się w środku dnia i przyjść w stroju duchownym. W ten sposób od razu spalali takie spotkania, uniemożliwiali sprowadzenie kontaktu na grunt niejawni.

J.M.R. – W dekadzie gierkowskiej zmienia się sytuacja, pojawiają się już nie zbrojne i nie tak liczne, jak w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, ale jednak występujące jawnie, choć nadal nielegalne, grupy sprzeciwu. W związku z tym wzrasta też liczba agentów. Co w tym okresie okazuje się najskuteczniejszym haczykiem, na który bezpieka ich „tapie”?



GRABCZYK

Franciszek Grabczyk (ur. 1936), inżynier metalurg, działacz Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy, redaktor wydawanych poza cenzurą pism „Robotnik” i „Krzyż Nowohucki”, działacz „Solidarności”. Po pisemnym proteście skierowanym do KC PZPR przeciw represjonowaniu robotników po czerwcu 1976 r., zwolniono go z pracy w Hucie im. Lenina. Podjął pracę w Hucie Aluminium w Skawinie, skąd za organizację strajków również został zwolniony. Następnie pracował jako robotnik w cegielni w Zesławicach, w konsekwencji działań SB, ponownie zwolniono go z pracy w połowie lat osiemdziesiątych. Do 1989 r. pozostał bezrobotny. Przez cały ten okres był obiektem wyrafinowanych kombinacji operacyjnych SB.

F.M.

F.M. – Lata siedemdziesiąte to jest moment, w którym bezpieka nasila werbunki, których podstawą jest tzw. zainteresowanie materialne, bardzo szeroko pojęte. Dekada gierkowska przedstawiana w propagandzie jako czas dobrobytu przynosi więc zmianę sposobu werbunku. Bezpieka zdała sobie sprawę, że przemoc rodzi opór, agentura werbowana za pomocą szantażu, wcześniej lub później odmawia współpracy. Bezpieka rozumie więc, że „wartościową” sieć agenturalną należy budować na zasadzie barterowej wymiany, to znaczy tak, aby tajni współpracownicy byli także zainteresowani współpracą. Społeczeństwo pobudzone w tym czasie pewnym

otwarcie na Zachód, pojawieniem się na rynku artykułów, których wcześniej w ogóle nie było, zaczyna być nieco bardziej podatne na różnego rodzaju próby przekupstwa ze strony bezpieki. Tu nie chodzi tylko o wypłatę pieniędzy, przynętą może być obietnica lepszej pracy, paszportu... W tym czasie bezpieka zaczyna rozgrywać politykę paszportową w celach werbunkowych. Możliwości wyjazdu są coraz powszechniejsze, dlatego mogą być wykorzystywane do werbunku, bo nie dekonspirują od razu zwerbowania danej osoby. Co więcej, „wartościowej” agenturze wynagrodzenie za wykonane zadanie wypłacano czasem po wysłaniu za granicę, żeby poprawa stopy życiowej nie wzbudzała wątpliwości otoczenia – dobrą „legendą” stawało się, że ktoś pieniądze przywiózł z Zachodu. Polityka paszportowa była wykorzystywana także w taki sposób, że na przykład przyznano paszport Stefanowi Kisielewskiemu, bo zdawano sobie sprawę, że odmowa możliwości wyjazdu będzie na Zachodzie komentowana jako represjonowanie niezależnych pisarzy. W tym wypadku wydanie paszportu miało tworzyć iluzję liberalizacji stosunków w Polsce.

J.M.R. – Ale skupiliśmy się na paszportach, a jakie były inne formy werbunku w tym czasie?

F.M. – Poza werbunkiem „przekupnym” rozwija się w tym czasie tzw. werbunek stopniowy. Polegał on na rozbudowywaniu psychologicznego nacisku na osobę, która negatywnie odnosiła się do systemu komunistycznego. W ciągu kolejnych kilku czy kilkunastu spotkań stopniowo wciąga się te osoby w dialog operacyjny z bezpieką. W czasie tego dialogu funkcjonariusze SB sycyli wątpliwości, przekonywali do konieczności wspierania państwowości polskiej, pojawiało się coraz więcej frazeologii pseudopatriotycznej.

W.F. – To jest też konsekwencją tego, że peerel znormalniał, to państwo staje się dla wielu Polską. O ile w końcówce lat czterdziestych sytuacja jest bardzo czytelna, wiele osób

uważa, że Polska znalazła się pod nową okupacją, która kiedyś musi się skończyć, o tyle w miarę upływu lat peerel coraz bardziej odbierany jest jako nasze państwo. I to odegrało bardzo istotną rolę w kontaktach – obywatel a Służba Bezpieczeństwa.

F.M. – Paradoks polega na tym, że z jednej strony dokonywał się rozwój metod werbunkowych, stawały się one coraz skuteczniejsze, bezpiecznie udaje się pozyskiwać współpracowników na zasadzie – jak oni to określali – „dobrowolności”, z drugiej strony w tych latach stosunkowo najłatwiej było odmówić współpracy – zwłaszcza po 1976 r., kiedy nielegalna, ale jawnie funkcjonująca opozycja zaczęła wymieniać informacje o tym, jak unikać werbunku.

J.M.R. – Jakie środowiska uznawane były za najgroźniejszych wrogów i w konsekwencji najsilniej inwigilowane?

W.F. – W tej sprawie jest pewna ciągłość. Pamiętajmy, że w tych latach nadal byli inwigilowani ci, którzy zostali uznani za zagrożenie w początkach peerelu.

F.M. – Ze względu na gierkowskie otwarcie na Zachód, szczególnej kontroli poddawano wszystkie te środowiska, które miały kontakt z zagranicą, w tym np. uczelnie czy środowiska intelektualistów. Jednak do połowy lat siedemdziesiątych inwigilowany był przede wszystkim Kościół, natomiast po czerwcu 1976 r. intensywnie zaczynają być inwigilowane rodzące się struktury opozycyjne.

J.M.R. – W tym czasie w bezpiecznie też pojawia się grono funkcjonariuszy, którzy mogą skuteczniej szukać kontaktu z intelektualistami...

Jeżeli chodzi o cenę odmów współpracy, to z pewnością jest ona inna bezpośrednio po krwawo stłumionych protestach na Wybrzeżu w 1970 r., a inna w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy uzależnienie gospodarcze od Zachodu oraz gospodarcze i polityczne Polski od ZSRS dokonuje się pod płaszczykiem liberalizacji. Wydaje się, że w tym czasie władza ogranicza opozycję bardziej przez jej infiltrację niż przez represje.

F.M. – Z tego, że z bezpieką się nie rozmawia, że odrzuca się składane przez nią propozycje, zdawano sobie sprawę w kręgach niepodległościowych od początku peerelu. Jednak z czasem ta wiedza zaczyna być ograniczana do środowisk pozostających poza głównym nurtem życia politycznego, dysydenckiego, opozycyjnego. Lata siedemdziesiąte sprawia-

KARKOSZA

Henryk Karkosza (ur. 1953), prawnik, funkcjonariusz MO, szef niezależnej Krakowskiej Oficyny Studentów, później Wydawnictwa KOS i Oficyny Literackiej, działacz NSZZ „Solidarność”, jedna z kluczowych postaci drugiego obiegu w Małopolsce i Funduszu Wydawnictw Niezależnych. Zwerbowany w 1979 r. współpracował z bezpieką pod pseudonimami „Monika” i „Waldek”, przekazując informacje na temat opozycji – przede wszystkim o jej działalności poligraficznej i wydawniczej, ale np. w 1980 r. raportował także o tworzących się strukturach „Solidarności”.

F.M.

ją, że znów dla osób czynnie angażujących się w działalność opozycyjną staje się jasne, zwłaszcza po roku 1976, że naprawdę odmówić można...

J.M.R. – Już jest wydrukowana instrukcja...



W.F. – Tak. To jest ta słynna instrukcja „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa” z lata 1977 r., której głównym autorem był mecenas Jan Olszewski, a wydawcą Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Natomiast to nie była pierwsza instrukcja. Tego typu instrukcje – może nie tak dobrze od strony prawnej ujęte – obowiązywały już wcześniej w Kościele. Trzeba podkreślić, że prymas Wyszyński bardzo jednoznacznie stawiał sprawę kontaktów z bezpieką i tego, w jakich formach one mogą mieć miejsce, a co jest niedopuszczalne. Oczywiście, te kościelne instrukcje były znane tylko księżom i niektórym działaczom katolickim. To, co zrobiło PPN, to było publiczne ogłoszenie pewnych zasad. Instrukcja ta była skonstruowana na podstawie kodeksu postępowania karnego. Propagowały ją także emigracyjne środki przekazu – „Kultura”, Radio Wolna Europa. Dzięki temu instrukcja była coraz powszechniej znana i potem w wielu mutacjach była przedrukowy-

wana w miarę, jak rozrastał się drugi obieg. Instrukcja stała się cennym instrumentem dla osób, które mogły znaleźć się w kręgu zainteresowania bezpieki, ale trzeba dodać, że nie było tak, że wszyscy ją znali. Ta instrukcja była powszechnie kolportowana dopiero po powstaniu „Solidarności”. Wcześniej zasięg drugiego obiegu był jednak bardzo ograniczony.

J.M.R. – Po 1976 r. zaczyna się coś, co towarzyszy nam do końca peerelu – wyjąwszy okres stanu wojennego – tzn. **bezpieka się przygląda i kontroluje, a rządziej represjonuje...**

F.M. – Uzależnienie Gierka od kredytów zachodnich powoduje, że nie bardzo może on sobie pozwolić na masowe represje. To ma decydujący wpływ na sposób działania Służby Bezpieczeństwa. To nie jest przypadek, że właśnie w połowie lat siedemdziesiątych tworzą się komórki odpowiedzialne za działania dezintegracyjne – stosowane wobec Kościoła i środowisk opozycyjnych. W tym momencie rodzi się mechanizm już nie tylko infiltracji, ale przede wszystkim inspiracji i dezinformacji tych środowisk, które komuniści uznają za niebezpieczne dla władzy. Mechanizm, który ma powodować nie tyle fizyczne likwidowanie ognisk zapalnych, ile sprawiać, żeby zajmowały się one działalnością, która – z punktu widzenia partii komunistycznej – jest mniej niebezpieczna. Jeżeli bezpieka wie o istnieniu jakiejś drukarni, to nie chodzi o to, żeby ją zlikwidować, ale np. chodzi o spowodowanie, żeby, zamiast ulotek nawołujących do manifestacji trzeciomajowej, drukowała ona dzieła filozoficzne albo wiersze Barańczaka. Oczywiście, to była też działalność niezgodna z ko-

munistycznym prawem, ale jej doraźna dolegliwość dla systemu komunistycznego była znacznie mniejsza niż wezwanie do *stricte* politycznego działania.

J.M.R. – Z drugiej strony powstanie „Zapisu” – pisma przecież literackiego, doprowadza ich do wściekłości. Same środowiska posłusznych komunizmowi literatów są wściekłe – po latach wiernej służby dowiadują się, że ktoś może jednak wydać coś bez cenzury...

W.F. – Trochę odchodzimy od wątku agenturalnego do całej polityki tamtej dekady. Choć wątek agenturalny jest pochodną tej polityki. Wiadomo już, że rodzi się opozycja i to jest proces nie do zatrzymania, rolę więc bezpieczeństwa staje się odpowiednie skanalizowanie tego zjawiska. Tak, żeby ta opozycja, która nie da się zlikwidować, była dla systemu jak najmniej szkodliwa. Każde działanie opozycji będzie szkodliwe, bo nawet czytanie wierszy, wydanych w drugim obiegu, choćby one mówiły o motylkach czy wiośnie, jest czynnością, która nastroja opozycyjnie czytelnika, bo on sięga po drugi obieg, a nie po wydawnictwa ocenzone. Jednak z ich punktu widzenia lepiej, żeby ktoś czytał o wiośnie, niż żeby czytał *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. I tu pojawia się nowa rola agentury.

F.M. – Zapominamy często o podstawowej zasadzie pracy operacyjnej: jeżeli nie da się przekształcić sytuacji operacyjnej na korzyść Służby Bezpieczeństwa, to powinna ona zrobić wszystko, aby spowolnić pogarszanie się tej sytuacji. W tej konkretnej sprawie oznacza to: jeżeli szeroko pojęta działalność drugiego obiegu, w perspektywie kilku- lub kilkunastoletniej kształtuje środowiska intelektualnie niezależne od reżimu, to z punktu widzenia bezpieczeństwa jest to i tak lepsze, niż gdyby to samo grono osób w danym momencie zaangażowało się w manifestację antysystemowe, bo odsuwa problem w czasie.

J.M.R. – Poza tym można sterować przeciwnikiem, wysyłając np. sygnał: nie będziemy was ostro zwalczać, jeżeli wy nie będziecie w waszych wydawnictwach uderzać w sojusz ze Związkiem Sowieckim. Odbierając taki sygnał, wydawnictwa zaczynają balansować, o czymś piszą, ale o czymś innym już nie, bo to może być dla nas groźne. Zaczyna pojawiać się, czasem nieuświadomiana, autocenzura.

W.F. – Taka jest tzw. rola inspiracyjna agentury. Ta agentura mogła być nawet tak usytuowana, że inspirowała bardzo radykalne działania, ale w innym miejscu neutralizowała skutki tych działań. Na przykład można wydrukować bardzo antykomunistyczne ulotki, tylko 90 proc. ich nakładu trafi później do piwnicy na Rakowieckiej.

J.M.R. – Takie metody rozwijają się w latach późniejszych...

U schyłku lat siedemdziesiątych Gierek wita Jana Pawła II jako „Polak, patriotą...”. A jednocześnie prowadzona była esbecka akcja „Lato '79”. W zamyśle miała ona zniwelować skutki pielgrzymki Ojca Świętego do Polski, ale nie powiodła się. W 1980 r. powstał dziesięciomilionowy NSZZ „Solidarność”. Obok osób, które dostrzegły w nim nadzieję na odzyskanie niepodległości, zapisywali się do niego partyjni, którzy w sposób oczywisty byli informatorami „zbrojnego ramienia partii”, oraz niemała ekipa tajnych współpracowników. W odróżnieniu od partyjnych, którzy nie zawsze słusznie budzili nieufność, tajni współpracownicy stanowili po-

MORAWIECKI

Kornel Morawiecki (ur. 1941), fizyk, uczestnik studenckich strajków 1968 r. we Wrocławiu, redaktor wydawanych w drugim obiegu czasopism, działacz NSZZ „Solidarność”, twórca powstałej w 1982 r. Solidarności Walczącej. Dążył do bezwarunkowego odzyskania przez Polskę niepodległości, podkreślał: „Nie chcemy porozumienia z władzą z obcego nadania. Chcemy tę władzę pozbać władzy”. Od 13 grudnia 1981 r. ukrywał się przed SB, aresztowano go dopiero w listopadzie 1987 r., w kwietniu 1988 r. został zmuszony do opuszczenia peerelu, powrócił przez „zieloną granicę” w sierpniu t.r., ukrywał się do lata 1990 r.

F.M.

ważny problem. Czy jesteśmy w stanie ocenić skalę i destrukcyjne działanie agentury w „Solidarności”?

W.F. – Trzeba pamiętać, że nie wszyscy partyjni, którzy zapisali się do „Solidarności”, byli agentami czy kontaktami operacyjnymi...

J.M.R. – Podkreśliłem to, mówiąc, że nie zawsze słusznie budzili nieufność, ale chodzi mi raczej o to, że bezpieka mogła wiązać z nimi pewne nadzieje, choć na pewno analizowała ich postawy. Z pewnością szybko bezpieka zorientowała się, że w żaden sposób nie może liczyć na Seweryna Jaworskiego, ale na wielu innych, dlaczego nie? Przecież wielu z nich, tak jak kiedyś szło do ZMP, żeby robić karierę, tak teraz wyczuło, że trzeba się „nawrócić”, żeby znów być w pierwszej linii. Partyjni jednak w samej „Solidarności” przyjmowani byli z pewną ostrożnością. Koledzy przyglądali się ich postępowaniu w związku, natomiast najgroźniejsi, bo nierozpoznani, byli tajni współpracownicy.

F.M. – Powstanie „Solidarności”, zwłaszcza jeśli uwzględni się powszechność tego ruchu, powoduje automatycznie reakcję bezpieki, którą są próby masowego werbunku osób angażujących się w działalność związkową.

J.M.R. – Najpierw chyba weryfikację, gdzie już jest agentura...

F.M. – Tak, a potem próba uzupełnienia agentury. Warto podkreślić, że w 1980 r. wiele osób zdecydowanie odmawiało współpracy. Wydaje się, że atmosfera „karnawału »Solidarności«” sprawiała, że w tym czasie odrzucenie propozycji współpracy mogło być łatwiejsze, werbowany bowiem mógł mieć świadomość, że po zakończeniu rozmowy nie zostanie z problemem sam, ale może liczyć na pomoc, na wsparcie skryształizowanej i licznej grupy osób.

J.M.R. – Znane są konkretne przypadki ludzi, którzy już po pierwszej pielgrzymce Ojca Świętego do Ojczyzny zdecydowali się na odmowę wcześniej podjętej współpracy.

F.M. – Natomiast nie jesteśmy w stanie na obecnym etapie badań pokusić się o całościową ocenę skali destrukcyjnego działania agentury wobec „Solidarności”. Nie chciałbym też ujmować sprawy statystycznie, bo czasem umieszczenie iluś agentów w jakiejś strukturze,

nawet kierowniczej, ma mniejsze znaczenie niż jedno, ale „wartościowe” źródło informacji.

Śmiało można sformułować tezę, że sukces „Solidarności” był niezaprzeczalny. Wprowadzenie później stanu wojennego, czyli zdecydowanie się na represje, wyraźnie dowodzi, że nie udało się opanować związku metodami operacyjnymi. Bezpieka nie była w stanie zdławić związku działaniami tajnymi, więc zdecydowano się na rozwiązanie, którego komuniści się bali. Dodajmy, bali się słusznie, bo wprowadzenie stanu wojennego spowodowało sankcje gospodarcze ze strony Zachodu i przyspieszyło krach gospodarczy oraz konieczność rozmontowania systemu.

Działalność agentury w tamtym okresie była istotna na kilku poziomach. Po pierwsze, przejmowano agenturalnie ruch wydawniczy i starano się go kierować w stronę wygodniejszą dla reżimu, choć nadal szkodliwą. Drugie pole to działania agentury wpływu, która zdroworoządkowo przekonuje, że „Solidarność” nie powinna ani na krok wykraczać poza formułę czysto związkową. Argumentowano, że wszelkie wyjście poza tę formułę spowoduje zakwestionowanie legalności NSZZ „Solidarność”.

NASZKOWSKI

Eligiusz Naszkowski (ur. 1956), politolog, przewodniczący Regionu Piłskiego NSZZ „Solidarność”, od 1981 r. TW „Grażyna”. Wykonując zlecane mu przez bezpiekę zadania, m.in. przekazał jej nagranie dyskusji ze spotkania przedstawicieli regionów „Solidarności” w Radomiu, które zmanipulowane następnie przez bezpiekę i upublicznione posłużyło w kampanii uzasadniającej konieczność wprowadzenia stanu wojennego. Miał być jedną z kluczowych postaci kierowanej przez SB „neosolidarności” – jednak gra operacyjna nie powiodła się. Od 1982 r. kadrowy funkcjonariusz SB. Dwa lata później zbiegł na Zachód.

F.M.

J.M.R. – Te obawy zresztą były autentyczne, może jedynie podsycane przez agenturę. W tej sprawie dochodziło do wielkiego rozdziewu pomiędzy oczekiwaniami zwykłych członków – ludzi, którzy wstąpili do „Solidarności” z nadzieją, że jest ona drogą do wolności Polski, a decyzjami działaczy związkowych, którzy występowali – chcąc nie chcąc – w roli hamulcowych w tym rozpędzonym pociągu. Mam wrażenie, że młodszy badacze, pochylając się nad związkowymi uchwałami, nie mogą pamiętać kontekstu społecznego, skłonni są z całą powagą dowodzić, że „Solidarność” była przede wszystkim zwykłym związkiem zawodowym, zajmującym się prawem pracy etc. Tymczasem, gdyby chodziło tylko o modyfikację kodeksu pracy, to komuniści nie zdecydowaliby się na wprowadzenie stanu wojennego.

F.M. – Trzeba jeszcze jedno podkreślić, że z natury rzeczy w takim dziesięciomilionowym ruchu bezpieka miała bardzo ograniczone możliwości działania – nawet najsprawniejsze tajne służby nie są w stanie kontrolować procesów masowych. Agentura miała więc za zadanie zmniejszać doraźną szkodliwość tego ruchu dla systemu. Bardzo często było tak, że bezpieka była stawiana przez ten ruch pod murem, np. podczas wyborów pierwszego przewodniczącego. Jest czterech kandydatów: Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk, Jan Rulowski i Lech Wałęsa. Agentura została nastawiona tak, żeby grać na Wałęsę. Nie oznacza to, że Wałęsa jest dla nich wygodnym przywódcą „Solidarności”, ale z ich punktu widzenia najbardziej umiarkowanym. Bezpieka nastawia agenturę na głosowanie na „mniejsze zło”.

Przy tak wielkich rozmiarach ruchu solidarnościowego bezpieczeństwa często bywa zmuszana do „strzelenia sobie w kolano”, żeby „nie strzelić sobie w głowę”. Nie była bowiem przygotowana do opanowania dziesięciomilionowego związku, bo tego się nie da zrobić. Można opanować trzydziestosześcioletnie społeczeństwo, jeśli ono jest zatamowane. Ale jeśli z tego społeczeństwa 10 mln ludzi zaczyna się organizować, a jednocześnie szeregi partii sprawującej władzę zaczynają topnieć do 2 mln...

W.F. – Ona się rozpada jako struktura. Znika coś takiego jak „centralizm demokratyczny”.

F.M. – Jednocześnie zaniepokojone doty partyjne zaczynają nawiązywać różnego rodzaju porozumienia, grając przeciwko swojemu przywództwu po to, żeby ratować siebie i polepszyć swoją sytuację. To wszystko wprowadza na tyle duże zamieszanie, że działaniami tajnymi nie da się tego opanować. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że dokonuje się powrót do roku 1945 – czyli władze uznają, że trzeba ponownie wprowadzić system komunistyczny. To można zrobić tylko siłowo, bo 10 mln członków „Solidarności” nie przekona się do tego, że Stanisław Kania albo Wojciech Jaruzelski jest wymarzoną przywódcą narodu.

J.M.R. – Czy rok 1980 to tylko intensyfikacja działań agentów, czy także pokaźna liczba odmów bądź zerwań współpracy?

W.F. – W tym okresie zdarza się dość często, że nawet tajni współpracownicy odmawiają donoszenia na „Solidarność”. Dotyczy to ludzi, którzy wcześniej zostali zwerbowani, żeby dostarczać na przykład informacje związane z gospodarką. Oni potrafią jasno powiedzieć, że inny był cel ich współpracy, natomiast o „Solidarności” mówić nie będą. Takie przypadki zdarzały się także w innych okresach wrzenia, kiedy coś się w Polsce poważniejszego działo, ale po powstaniu „Solidarności” ma to miejsce znacznie częściej.

F.M. – W czasie tych szesnastu miesięcy to na pewno był inny kraj niż wcześniejszy peerel i niż peerel za czasów stanu wojennego. Zdarzały się w tym okresie przypadki zerwania współpracy podjętej wcześniej i odmów zgody na werbunek. Ale trzeba pamiętać, że w tym czasie również bezpieczeństwa zmienia metody działania w reakcji na to, co się dzieje; także na to, że ukazują się takie broszury, jak wspomniana „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa”. W tym momencie doskonałe są metody „miękkiego werbunku”, czyli kontaktu z potencjalnym kandydatem, przekonywania go, że kontakty z funkcjonariuszem SB to nie jest współpraca, że nie chodzi o to, żeby donosić na kolegów, tylko o to, żeby ukierunkować działalność związkową na sprawy zawodowe, w celu uchronienia związku przed prowokacjami politycznymi. Przekonywano, że wyprzedzające informacje o mających nastąpić „przerwach w pracy” (tak nazywano strajki) zapobiegną represjom wobec zakładu pracy, zmniejszą niegospodarność itd. Argumentację dostosowywano do psychiki człowieka, którego usiłowano zwerbować. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych niezwykle często rezygnowano z pobierania zobowiązania do współpracy na piśmie...

W.F. – Ważne staje się, żeby uzyskać informacje, a jak to się formalnie dokonuje, to jest rzeczą drugorzędną. O ile w tych wczesnych latach komunizmu w Polsce duże znaczenie przywiązywano do tej formalnej strony, o tyle w latach osiemdziesiątych to już nie było takie istotne, ważny był efekt.

J.M.R. – Czyli na samym początku komunizmu nie prowadzono kartoteki kandydatów na współpracowników, tylko dokonywano rejestracji już po „opracowaniu” kandydata i zwerbowaniu go. Później rozwija się biurokracja i dokumentacja obejmuje okres „pracy” nad kandydatem, a następnie odnotowywany jest werbunek i przebieg współpracy. A w latach osiemdziesiątych...



F.M. – Wszystko jest odnotowywane, ale rezygnuje się z formalnego zobowiązania do współpracy na piśmie, czyli w pewnym sensie na środowisko opozycyjne przenosi się reguły gry stosowane od 1949 r. wobec duchownych. W stosunku do księży, których nie zwerbowano „twardym szantażem”, od 1949 r. odstępowano od pobierania zobowiązania, bo bezpieczeństwa wiedzieli, że w tym środowisku konieczność podpisania jasnego zobowiązania uniemożliwiała często werbunek.

J.M.R. – Dziś wiemy już, w jak wielkim stopniu bezpieczeństwa poprzez agencję kontrolowała poczynania podziemia w czasie stanu wojennego. Łagodność, swego rodzaju autocenzura niektórych wydawnictw podziemnych, która wtedy mogła nas dziwić, w kilku przypadkach znalazła już swoje wyjaśnienie. Pozbywamy się kolejnych złudzeń...

F.M. – Stan wojenny jest znowu specyficznym momentem w dziejach peerelu, znowu, dlatego że w tym czasie wraca się do powszechnej represji, do metod sprawowania władzy przez komunistów charakterystycznych dla lat czterdziestych i pięćdziesiątych. To znaczy przeciwnikiem systemu są nie tylko ci, którzy jawnie przeciw niemu występują, ale też wszyscy, którzy jawnie nie popierają partii.

W.F. – Takie myślenie wynika z tego, że te szesnaście miesięcy „Solidarności” pokazało, iż ci, którzy niby nie są przeciw, w sprzyjającej sytuacji przechodzą na stronę przeciwnika politycznego i stają się „elementami antysocjalistycznymi”. Dlatego w stanie wojennym wszyscy mogą być poddawani represjom, bo oni już przestali być „nasi”, przestali być pewnymi, lojalnymi obywatelami.

F.M. – W czasie stanu wojennego zaczynają wracać do resortu metody werbunku takie jak w latach czterdziestych i pięćdziesiątych...

BORYCZKA

Adam Boryczka (1913–1988), cichociemny, oficer AK, żołnierz „Wachlarza”, szef Kedywu Okręgu AK Wilno, dowódca oddziału partyzanckiego, kurier między Wileńszczyzną a Komendą Główną AK w kraju, w latach 1945–1952 kurier WiN, w latach 1948–1953 szef komórki łączności z krajem Delegatury Zagranicznej WiN. Aresztowany w 1954 r., otrzymał w MBP propozycję wyjścia na wolność w zamian za udział w kampanii propagandowej przeciw emigracji niepodległościowej. Kiedy odmówił, został skazany na śmierć, po ułaskawieniu – na więzienie dożywotnie. Wyszedł jako ostatni więzień Polski Walczącej w 1967 r.

W.F.

lacji. Wystarczyła mniejsza ilość informacji agenturalnych, bo nic się wielkiego nie działo. W okresie „Solidarności” zaczęło się dziać bardzo wiele, dlatego trzeba to ucho bezpieki wsadzić wszędzie.

F.M. – Realia prawne – jeśli uznamy, że w nielegalnej dyktaturze cokolwiek może być „prawne” – stanu wojennego powodowały, że konsekwencje odmowy współpracy znowu (tak jak w latach bezpośrednio powojennych) mogły stać się bardzo dotkliwe dla odmawiającego. Bezpieka miała szeroki wachlarz możliwości represjonowania takich osób. Na pewno działało to na psychikę werbowanego i dlatego odmówić propozycjom w tym czasie było znacznie trudniej niż w latach siedemdziesiątych czy w okresie legalnej „Solidarności”.

W.F. – I trudniej, i łatwiej, dlatego że...

J.M.R. – ...sytuacja stała się bardziej biało-czarna.

W.F. – Tak. Ten „karnawał »Solidarności«” rzeczywiście powszechnie obudził pewną świadomość, dał też ludziom instrukcję „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa”, która była przedrukowywana w każdej gazecie związkowej i masowo kolportowana. Poza tym już nie było anonimowości, atomizacji, takiej jak przed rokiem 1980.

J.M.R. – Jak człowiek został „zdjęty” przez milicję, to od razu gdzieś w najbliższym kościele pięć osób zgłaszało, że taki a taki został aresztowany, widzieliśmy, jak go wciągali do „suki”.

W.F. – Oni tych metod nigdy nie zapomnieli. Przez pewien czas próbowali bardziej finazyjnych, w stosunku do inteligencji, ale trzeba pamiętać, że robotników niejednokrotnie zastraszało tak jak w początkach komunizmu.

F.M. – W stanie wojennym powraca werbunek za pomocą „twardego szantażu” albo zastraszania. Na przykład sugerowano człowiekowi, że jest aresztowany, że nie wiadomo, czy z tego więzienia wyjdzie...

J.M.R. – Albo wywożono do nierozpoznawalnego lasu, nie wiadomo w jakim celu.

W.F. – Było czym i za co szantażować. Wracam do tego, że jeśli przez większość okresu gomułkowskiego społeczeństwo było uśpione, to trudno też było je represjonować i nie było potrzeby rozwiniętej inwigilacji.

W.F. – Tak, natomiast przed rokiem 1980 człowiek był zupełnie sam, anonimowy. Zanim informacja o represjonowaniu go dotarła do tych, którzy mogli ją przekazać na Zachód, to jednak trochę trwało. Po roku 1981 czasem ksiądz ogłaszał z ambony, że kogoś bezpieczeństwa nachodzi i ktoś mógł się ująć za nim...

J.M.R. – Albo przynajmniej prowadzono szczegółową ewidencję, że ktoś został zatrzymany i nie pozwalano na to, że ten człowiek się rozpytywał zupełnie. Ponadto przy parafiach, przy Duszpasterstwach Ludzi Pracy prowadzono bezpłatne punkty porad i pomocy prawnej, w których byli czotłowi prawnicy.

W.F. – Ale w stanie wojennym jest też nowa sytuacja operacyjna, czyli obozy internowania. Z jednej strony trafia tam agentura, której celem jest rozpracowywanie internowanych, z drugiej – powstaje dogodna sytuacja do werbunku. Można bowiem kogoś mieć tym, że nie będzie internowany, albo – jeżeli już został internowany – że wcześniej wyjdzie.

J.M.R. – Jest też nowa sytuacja w więzieniach, aresztach, która stanowi zastrugę „Solidarności”. Jeżeli dawniej szczególnym udręceniem było sadzanie „politycznych” z kryminalistami, to w tym okresie pojawia się coś nowego: kryminaliści, którzy też poczuli powiew wolności związany z „Solidarnością”, traktują „politycznych” z największym szacunkiem.

W.F. – Tak. I dzięki temu łatwiej jest znieść areszt czy więzienie. Waga tego argumentu w procesie werbunku trochę się zmniejsza.

J.M.R. – W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, po spacyfikowaniu nastrojów społecznych, tj. od 1986 r. niemal do obrad okrągłego stołu, obserwujemy najwyższy w całych dziejach peerelu wzrost agentury. W 1988 r. osiąga ona poziom prawie 100 tys. (dokładnie 98 tys. współpracowników). Z czego to wynika, jak wytłumaczyć to, że po solidarnościowym zrywzie znowu znajduje się tak wielu ludzi podejmujących współpracę? Czy cena odmowy była tak wysoka w tym czasie, czy metody bezpieczeństwa okazały się aż tak skuteczne?

W.F. – Bardzo poważny spadek nastrojów społecznych to jakby powrót do atmosfery z początku lat pięćdziesiątych, kiedy opór masowy wygasa i wydaje się, że nie ma perspektyw na jakiegokolwiek pozytywne zmiany. Instrukcje bezpieczeństwa idą w tym kierunku, że należy dokonywać werbunków masowych, wtedy się pojawia „kontyngent” współpracowników,

SIENKO

Stefan Sienko (ur. 1923), żołnierz AK na Rzeszowszczyźnie, działacz WiN, jeden z kierowników sieci informacyjnej „Stomil”-„Iskra”, szef Biura Studiów Wydziału Informacji IV Zarządu Głównego WiN. Aresztowany w 1948 r. podjął współpracę z UB pod ps. „Maciej”. Umożliwił MBP zawiązanie gry operacyjnej krypt. „Cezary” (tzw. V Komenda WiN), która pozwoliła przejąć pozostałości podziemia niepodległościowego w Polsce i dezinformować emigrację oraz wywiady zachodnie. W latach 1948–1952 był jednym z najważniejszych agentów MBP.

W.F.

który każdy funkcjonariusz powinien mieć. Zaczyna się rozliczanie esbeków z ilości, a nie z jakości źródeł, chociaż w samej bezpiece kwestionowano to na szczeblu lokalnym (są na to dowody), ale w sprawozdaniach do centrali ważna jest liczba współpracowników przypadająca na jednego funkcjonariusza. Ponadto w tym momencie agentura ma do odegrania szersze zadania, już nie jest tylko źródłem informacji. To jest też m.in. sposób pacyfikowania potencjalnych czy rzeczywistych opozycjonistów. Chodzi o to, żeby poprzez związanie z bezpieką wyrwać człowieka z kręgu opozycyjności. Werbunek staje się metodą neutralizacji konkretnych ludzi.

J.M.R. – **Czy nie sądzicie, że to, co jest uważane za bardzo skuteczną metodę wtedy – człowiek po podpisaniu współpracy idzie do znajomych i rozgłasza, podpisałem, nie kontaktujcie się ze mną – także powoduje, iż bezpieka jakiś częściowy cel osiąga? Z jednej strony wyjawiając ten fakt, człowiek ów zdekonspirował współpracę, przerwał nić szantażu, ale z drugiej strony część ludzi może mieć obawy: raz dał się złamać, nie wiadomo, jak będzie w innych przypadkach. W swoim kręgu ten człowiek – choć szanowana jest jego postawa – nie może cieszyć się pełnym zaufaniem. Bezpieka wyjęła tego człowieka z grona opozycji i zasiała wątpliwości wobec innych. Być może, ktoś inny z tego kręgu też podpisał, ale tego nie wyjawiał.**

W.F. – On już nie jest tym stuprocentowym opozycjonistą. Sam pewnie ma poczucie, że zrobił coś niewłaściwego. W konsekwencji nie ma zaufania do siebie samego.

J.M.R. – **Może sobie myśleć: lepiej już się w nic nie angażować, bo wtedy dałem się złamać i podpisałem, później miałem odwagę to ujawnić, ale jak będzie następnym razem, jeśli mnie złamią, czy nie wydam kolegów?**

F.M. – Rok 1986 jest przełomowy w całym bloku wschodnim. Już wiadomo, że w dającej się przewidzieć przyszłości Związkiem Sowieckim będzie kierował Michaił Gorbaczow. Zgodnie ze swoimi hasłami: przebudowy, jawności i przyspieszenia. Wiadomo też, że te hasła, wcześniej czy później, zostaną przeszczepione na grunt satelitów. Co więcej, nie tylko dla Kremla, ale dla wszystkich państw bloku jest jasne, że kryzys gospodarczy powoduje, iż trzeba znaleźć model wyjścia z tego impasu, i ten model będzie dla partii na pewno bolesny. Ta przebudowa nieuchronnie będzie musiała iść w kierunku reformy gospodarczej, a, być może, będzie się wiązała ze zmianami politycznymi.

J.M.R. – **W tle jest przecież Reagan, który dobija sowiecką gospodarkę i gospodarkę całego bloku, nie tylko sankcjami, ale także pomysłem „gwiazdnych wojen”. Pomysł nigdy niezrealizowany, ale w tym momencie genialny, bo niepozwalający państwom komunistycznym na przerzucenie środków ze zbrojeń na ratowanie gospodarki.**

F.M. – To jest moment, kiedy w bezpośrednim otoczeniu Jaruzelskiego powstają różne koncepcje wyjścia z kryzysu i coraz częściej zaczyna się mówić również i o tym, że wyjście z kryzysu będzie musiało być przeprowadzone za pomocą pozorowanych zmian politycznych, które będą kończyły się kooptacją części opozycji do struktur władzy. Nie ma sensu rozpatrywać tutaj wszystkich koncepcji. Można postawić uproszczoną tezę, że w połowie lat osiemdziesiątych bezpieka przygotowywała się do – swego rodzaju – dubletu z „odwilży”. Przygotowywano się

już do tego, że trzeba będzie poluzować pewne sfery nie tylko gospodarcze, ale również polityczne czy kulturalne. Wydaje się, że można też postawić tezę, wymagającą jeszcze udowodnienia, że rozwój sieci agenturalnej miał zapobiec sytuacji, która zdarzyła się podczas odwilży z lat pięćdziesiątych. Wtedy bezpieka „wysypała się” sieć agenturalna i z tego powodu partia była trochę ślepa i głucha na to, co działo się w społeczeństwie. Czyli rozbudowa sieci agenturalnej miałaby pomóc zapanować nad zmianami systemu, które nieuchronnie muszą nastąpić.

J.M.R. – *To jest ciekawa teza, ale zastanawiam się, czy to jest paniczne rozbudowywanie narzędzi agenturalnych, żeby nie utracić władzy, czy też jest to przygotowanie „posagu”, z którym wejdzie się w ten czas, kiedy trzeba będzie podzielić się władzą?*

F.M. – W 1986 r. nikt nie myślał o podzieleniu się władzą.

J.M.R. – *Wybiegłem już nieco w przód, mam na myśli lata 1986–1988. Szczyt agentury to rok 1988 – jej liczba sięgnęła niemal 100 tys. Wtedy jawnie już prowadzi się debaty na temat koniecznych zmian, kooptacji części opozycji do władzy. Zresztą w tamtych czasach podzielenie się władzą nie oznacza niczego wspaniałego, raczej – w domyśle – podzielenie się odpowiedzialnością za katastrofalną sytuację gospodarczą, z której trudno wyjść bez takiej czy innej współpracy z opozycją.*

F.M. – Tak. Mówi się o pluralizmie politycznym...

J.M.R. – *Jeśli chodzi o ten gwałtowny wzrost agentury, niekiedy słyszy się i takie zdanie, że to było takie szybkie inicjowanie współpracowników, trochę po to, żeby w tych nowych czasach nie mogli myśleć o sobie, że są bez grzechu i żeby byli przez to skłonni do współdziałania.*

W.F. – Nikt nie myślał w ten sposób.

F.M. – Też sądzę, że nikt nie myślał w tych kategoriach.

W.F. – Agentura nigdy nie miała być ujawniona i to jest poza dyskusją.

J.M.R. – *Tu nie chodzi o ujawnienie, tu raczej chodzi o zanurzenie w brudnej wodzie i naprędce tworzenie nowych nici szantażu, po to, by wielu nowym osobom móc powiedzieć: może nie zdążyłeś nam przynieść wielu informacji, ale pamiętaj, nawet jak coś się zmieni, to ty jesteś już nasz.*

F.M. – Sądzę, że raczej chodziło o swoiście rozumianą agenturę wpływu. Klasycznie rozumiana agentura wpływu to ludzie, którzy wykonują zadania zlecone przez bezpiekę w celu inspiracji bądź dezinformacji jakiegoś środowiska. W tym wypadku mogło chodzić o zabezpieczenie przebudowy systemu, która miała się odbywać na gruncie jawnym, ale musiała – ich zdaniem – być wzmocniona tą tajną warstwą operacyjną, której realizacja była uzależniona od sieci agenturalnej. Z drugiej strony masowa rozbudowa sieci automatycznych wpływała na tonizowanie i uspokajanie nastrojów opozycyjnych.

W.F. – Bardzo ważny był element „wychowywania” agentury...

F.M. – Kolejna sprawa – część tej agentury jest lokowana w tych środowiskach, które wtedy są zwalczane operacyjnie ze szczególną zaciekłością. To jest moment, kiedy rozpoczyna się operacja „Hydra” nastawiona na konfliktowanie opozycji *stricte* niepodległościowej, która nie godziła się na żadne negocjacje z władzą. Paraliżowanie prób porozumiewania się grup tej części opozycji między sobą, a także torpedowanie wszelkich prób porozumień między opozycją niepodległościową a tą, która opowiada się za ugodą z władzą – to wszystko wymaga potężnej sieci agenturalnej.

W.F. – Zawsze działania operacyjne są pochodną pewnej sytuacji i planu politycznego. Ale ja bym kładł jednak nacisk w tej bieżącej pracy bezpieki na ich myślenie z perspektywy operacyjnej, a nie politycznej. Oczywiście, gdzieś wyżej ktoś mógł to analizować na różnych poziomach, natomiast z punktu widzenia „dołowego” esbeka najważniejszy był cel operacyjny, czyli opanowanie przy pomocy agentury środowiska, jak to dawniej nazywano „zabezpieczenie kontrwywiadowcze”. I temu to służyło: im więcej będzie naszych oczu i uszu, tym większa jest pewność, że uda się zapanować nad wprowadzanymi zmianami. Tak to rozumiem, bo przecież nie cała agentura była werbowana w środowiskach opozycji niepodległościowej, one nie były tak znowu liczne.

F.M. – Zgoda, u schyłku 1988 r. opozycja była szacowana na 55 tys. ludzi, to jest znacznie mniej niż funkcjonująca w tym czasie agentura. O tym też trzeba pamiętać. Agentów było prawie dwa razy tyle, co opozycjonistów.

W.F. – Tak jak nie wszystkie komórki bezpieki rozpracowywały opozycję, tak i agentura miała różne zadania i działała w wielu środowiskach.

J.M.R. – Po „karnawale »Solidarności«” i po stanie wojennym bezpieczeństwa chyba też uznała, że konieczny jest nowy przegląd – z czym ma do czynienia.

F.M. – Wydaje się jednak, że ten przegląd nastąpił znacznie wcześniej – zapewne w latach 1985–1986. Natomiast w kolejnych latach rozbudowa agentury była – jak sądzę – związana raczej z działaniami perspektywicznymi – przygotowaniem do operacji, która będzie trudna i będzie wymagała kontrolowania społeczeństwa, w sensie masowym. Wiemy przecież, że w planach, które są rozważane w MSW i w otoczeniu Jaruzelskiego, pojawia się także możliwość ponownego wprowadzenia stanu wojennego, a z drugiej strony mechanizm „zmiany bez zmiany”, czyli dopuszczenie części opozycji do udziału w organach przedstawicielskich, przy zachowaniu przez PZPR niemal pełni władzy. Rozbudowuje się sieć sygnalizującą nowe zagrożenia i pozwalającą śledzić to, co się dzieje w społeczeństwie w chwili przeprowadzania bardzo istotnej i rozległej socjotechnicznie operacji.

J.M.R. – W tym ostatnim okresie nie trzeba wielkiej przenikliwości, by widzieć, że komunistyczny moloch jest już na glinianych nogach, nie trzeba też było wielkiej odwagi, żeby odmówić esbekom współpracy. Czy znają panowie przypadki odmów z tego okresu?

W.F. – Dość zaskakujące jest, że ta liczba agentury bardzo gwałtownie wzrasta. Nie znamy jedynie danych dotyczących roku 1989... Ale wiemy, że jeszcze pod koniec roku 1988 ludzie godzili się na współpracę. Trudno wytłumaczyć – dlaczego? Jakich argumentów wobec nich używano, że były tak skuteczne...

J.M.R. – Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie, dlaczego?

F.M. – Tego nie wiemy, być może dlatego, że sytuacja ciągle była niepewna. Wiemy natomiast, dlaczego ich werbowano. W okresie poprzedzającym okrągły stół ekipa Jaruzelskiego wykonywała różne ruchy, starając się zdobyć najlepszą dla siebie pozycję negocjacyjną, a bezpieczeństwa z kolei – pozycję operacyjną. Jeszcze w 1988 r. „zespół trzech”, analizując sytuację w Polsce, dowodził, że krach polityczny ekipy Jaruzelskiego nastąpi z pewnością nie później niż do końca roku 1989. Zespół ten doradza Jaruzelskiemu: musimy rozpocząć rozmowy jak najwcześniej, bo z każdym dniem tracimy swoją pozycję negocjacyjną, słabniemy, a przeciwnik się umacnia.

J.M.R. – Nie bez znaczenia jest i to, że o ile w 1988 r. strajki udało się wygasić, to na początku 1989 r. dochodzą z kraju wiadomości, że nowa fala ludzi, młodsze pokolenie, będzie dążyć do ostrego starcia, którego może nie udać się spacyfikować, nawet przy współdziałaniu liderów dawnej „Solidarności”.

F.M. – Te wiadomości dochodzą już wcześniej. Dotychczasowi przywódcy „Solidarności” także zdają sobie sprawę, że kolejne strajki mogą zmieść także ich, a ruch oporu wobec dyktatury zostanie zdominowany przez młodszych działaczy. Mimo wszystko przełom roku 1988 i 1989 to czas, w którym sytuacja – dla przeciętnego człowieka – nie jest jeszcze jasna. Być może, jeszcze w tym zamieszaniu z końca roku 1988 jakieś formy nacisku na werbowanych okazywały się na tyle skuteczne, że godzili się oni wesprzeć upadający reżim. Ale kiedy już rozmowy okrągłego stołu się zaczynały – nie mamy z tego okresu statystyk, ale mamy informacje z konkretnych teczek – część agentury zrywa współpracę.

J.M.R. – To też ma znaczenie. Jednak z bagażem tej rzeszy agentów z końca peerelu borykamy się do dziś. Dlatego tak ważne jest odkrywanie tej ponurej prawdy i jej możliwego wpływu na współczesną Polskę.

Na koniec chciałbym zapytać, czy nie powinniśmy więcej uwagi poświęcić poszukiwaniu tych, którzy mieli odwagę powiedzieć UB/SB „nie”?

F.M. – W moim przekonaniu nie. Instytut Pamięci Narodowej w ogóle nie powinien na plan pierwszy wysuwać badań nad agenturą. Tak jak dotychczas tego nie robił, tak też nie powinien robić tego w przyszłości. Postawy heroiczne tych, którzy mó-



wili „nie” i postawy tych, którzy mówili bezpiecznie „tak” pojawiają się jako efekt uboczny badań nad bardziej złożonymi procesami zachodzącymi w peerelu.

W.F. – To nawiązuje do tezy, którą przedstawiłem na początku: agentura nigdy nie była celem samym w sobie, ona zawsze służyła jakimś celom szerszym. Nie da się zrozumieć historii państwa policyjnego, nie uwzględniając zagadnienia agentury. Ale ograniczając badanie historii do badania agentury, nic nie rozumiemy.

Całą sprawę agentury można ujmować statystycznie, tak robiła najczęściej bezpieka i pozostały po niej na ten temat zestawienia, tabele i wykresy, natomiast historyk powinien rozpatrywać każdy przypadek indywidualnie i to na szerszym tle dziejów. Oczywiście, są pewne stałe mechanizmy wynikające z instrukcji pracy operacyjnej dotyczące werbunku, prowadzenia agenta, rejestrowania go i wyrejestrowywania, ale pamiętajmy, że to dotyczy życia ludzi i dlatego każdy przypadek – mimo swej typowości – jest inny; bo los każdego człowieka jest inny. Inne są też uwarunkowania, w jakich żyły konkretne osoby. Znajdujemy przykłady każdego typu postawy – od spektakularnych podłości do ludzi, którzy zachowali się heroicznie, od takich, którzy nic nie ryzykując, ześwinili się, do osób, które wiele ryzykując, przechrzyły bezpiekę.

J.M.R. – Przykłady tych różnych postaw, często skrajnie przeciwstawnych, umieściliśmy w sąsiedztwie tej rozmowy.

*Zapisy do oddziału im. Zorro
przyjmuje sierżant Garcia*



A. Krauze, 1977 r.